

Peerelu, ojczyzno moja

O legnicką „Balladę o Zakaczawiu” spierają się ŁUKASZ DREWNIAK i PIOTR GRUSZCZYŃSKI

ŁUKASZ DREWNIAK: – W antrakcie pokazywanej w Warszawie „Ballady o Zakaczawiu” podszedłeś do mnie i powiedziałeś, że już dawno żaden spektakl Cię tak nie zezłościł. Zrobiło mi się z lekka nieswojo, bo ja akurat miałem wrażenia odmienne. Dawno nie czułem się na widowni tak bezpiecznie, tak swojsko. Rozpoznałem w tym przedstawieniu coś bardzo sobie bliskiego, znajomego – na przemian to wybuchałem śmiechem, to się wzruszałem, czułem, że teatr z Legnicy chce zaprosić mnie do rozmowy o czymś, o czym od wielu lat chciałem porozmawiać... Złe powiedziałem: teatr zaprosił mnie do świata, o którym wydawało mi się, że już zapomniałem.

PIOTR GRUSZCZYŃSKI: – Po przerwie było jeszcze gorzej. Wtedy nabrałem pewności, że oglądam przedstawienie szkolne. Nie oczekuję od teatru poczucia bezpieczeństwa, więc to mnie uwiesić nie mogło, a co do zaproszenia w kraj lat dziecińczych – mój był trochę inny. Świetnie go pamiętam, był też bardzo malowniczy, ale cała jego uroda i czar spoczywa gdzieś w sferach bardzo intymnych, a nie w peerelu. Może po prostu w przeszłości i pamięci, która przecież jest obcym krajem.

Ł. D.: – Domyślam się, że przedstawienie Jacka Głomba może ci się nie podobać albo jako robota teatralna, albo jako pewna wizja polskiej prowincji ukazanej od powojnia do współczesności.

P. G.: – Zastanawiam się bez przerwy, co do licha jest z tym peerelowskim sentymentalizmem. Zżera na przykład prozę, która próbując rozliczyć się z minioną epoką grzęźnie w lepkiem bagnie nieszczeroci i kiczu. I to samo widzę w teatrze. Czym innym jest osobiste wspomnienie dzieciństwa, które na ogół jest krainą szczęścia, a czym innym wspomnienie wspólnego losu, kawałka historii naszego kraju. Tego nie wolno lukrować. Jeśli się nie ma innego sposobu na opowiedzenie o tym, co było, lepiej nie mówić nic. Dla mnie taki teatr jest gdzieś blisko rzewnego okrzyku „komuno wróć”, a w najlepszym razie dowcipnej parafrazy sloganu peerelowskiego: „lepsze jutro było wczoraj”.

Dlaczego Niemcy potrafią spojrzeć ostro na swoją przeszłość, na swoją historię, na enerdówek? Dlaczego tak bezlitośnie obnażają całą ohydę ustroju, który padł, a my szlochamy nad tym, jacy byliśmy piękni? Przecież równie łatwo

mie teatru studenckiego czy szkolnego, okropnie grany, nie do wytrzymania. Nie kwestionuję zasług Jacka Głomba dla Legnicy, wierzę, że stopniowo przyciągnie do teatru całe miasto, ale ja zainteresuję się tym teatrem dopiero wtedy, kiedy przestanie grać pod publikę i zacznie stawiać jej jakieś wymagania.

Ł. D.: – Nie rozumiem Twoich zastrzeżeń wobec reżyserii Głomba. „Ballada o Zakaczawiu” to przecież całkiem przyzwoite przedstawienie. Ma świetne, dynamiczne sceny zbiorowe. Aktorzy z Legnicy są ze spektaklu na spektakl coraz lepsi, w „Balladzie” doskonale widać, jak ich postacie dopasowują się do umiejętności aktorskich, temperamentów, indywidualnej vis comica. Głomb po raz kolejny ogrywa niekonwencjonalne przestrzenie teatralne. To się ogląda jak film! Śmiesz w spektaklu zderzenie gwary śląskiej z lwowskim akcentem. Część tekstów jest mówiona w koślawym języku rosyjskim. I jest jeszcze piękny finał przy stole – przebaczenie, pośmiertne pogaduchy bohaterów. „Wszyscy jesteśmy martwi, przemineliśmy jak nasz świat” – oznajmia któryś z nich. Ale wtedy słyszymy: „Ja nie. Ja też nie.” Dwóch najgorszych oprychów łamiących kodeks moralny gangu (pomagaj swoim, nie syp, nie handluj narkotykami) pozostało przy życiu. Honorowych doliniarzy już nie ma, Piotrze! Wokół sami dresiarze.

P. G.: – Dla mnie to jest przedstawienie nieprzyzwoite. Powtarzam dlaczego: przede wszystkim strasznie słabe aktorsko i niedoreżyserowane. Pewnie to niedomknięcie miało być źródłem swobody, ale przecież rzecz tak trudną jak kontrolowana nonszalanca można osiągnąć tylko drogą precyzyjnej reżyserii.

Ogrywanie nowych przestrzeni jest tylko trickiem inscenizacyjnym nie podyktowanym żadną głęboką koniecznością. Widziałem spektakl w Warszawie, w warunkach



rach do podstarzałej kierowniczkii kina, dawnej aktywistki partyjnej. Dziś czujemy jednak, że wszelkie kombatanctwo ma charakter humorystyczny. Zwłaszcza kiedy o Polsce komunistycznej opowiadają nasi rówieśnicy – trzydziestolatkowie. Oni przecież nie poculi grozy systemu, poculi co najwyżej jego absurd. Jako dziecko dorysowywałem towarzysowi Gierkowi na zdjęciach diabelskie rogi i ogon. A po Sierpniu z satysfakcją wypisałem wielkimi kulfonami na odpowiedniej stronie: „Już nie jest 1 sekretarzem!” Od biedy też byłbym kombatantem! Jak się dobrze przyjrzeć, to w naszej słusznej walce bywaliśmy czasem albo zawsze – żałośni. Teatr z Legnicy celnie wychwycił ten paradoks.

P. G.: – Co z tego, że pokazuje się żałosne oblicze walki z ustrojem, skoro ta próba odbudowania zostaje przygnięcioną innym brązownictwem, a mianowicie pokazywaniem peerelu jako krainy, w której dało się szlachetnie żyć, a dziś już nie

cie wyobcowania, niepewności, tymczasowości, zagospodarowywania się na terenach niczyich.

Piotrze – „Zakaczawie” to opowieść o polskiej prowincji. Mikołaj Grabowski mówił mi, że podobnie było w jego rodzinnej Alwerni – komunizm nie naruszył jej dawnej struktury społecznej, ale ją zakonserwował, zamroził jak w hibernatorze. Za peerelu lokalna sytuacja nie trzymała ani z władzą, ani z Kościołem. Albo lawirowała między nimi, bo tak naprawdę sytuacja popierała tylko siebie samą. I tak też jest z Zakaczawiem Głomba – repatrianci przynoszą tu strzępy swych utraconych małych ojczyzn, próbując je odbudować. Głomb znajduje sobie swój Heimat, małą ojczyznę i pisze od nowa mitologię miejsca urodzenia, miejsca, gdzie przynależy. To samo robił Słobodziańek z Białostockiem, Grabowski z Alwernią, Huelle, Chwin i Limon z Gdańskiem.

W „Balladzie o Zakaczawiu” upływa czas i panoszy się Hi-

był przecież swego czasu „Wilk kazański” Eustachego Ryłskiego, a jeszcze wcześniej trzy „Selekcje” Łysiaka.

P. G.: – Wiem, jakie są reguły gatunkowe ballady. Rzecz w tym, że ja chyba nie akceptuję tematu tej ballady. Bo jeśli mówisz, że gdy upadają wszelkie autorytety, szukamy ich w „środowiskach ekstremalnych”, to nawet jeśli tak jest, nie mogę się na to zgodzić. Dzisiejsi dresiarze też mają przecież swój kodeks honorowy, mafia pruszkowska pewnie też, o Andrzeju Lepperze

Zgoda, że sukces „Zakaczawia” jest znamieny. Ale dla mnie stanowi świadectwo upadku gustu. Jest też dowodem na zwycięstwo sentymentalizmu w naszych duszach i kiczu w estetyce.

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

teatr... Te spektakle przywołują świat, który bezpowrotnie minął, ale jeszcze za daleko nie odszedł. Jak się wyciągnie rękę, można jeszcze go dotknąć, usłyszeć, jak mówili ludzie, znaleźć na strychu lub w piwnicy przedmioty z tamtego czasu.

P. G.: – Ha! Właśnie, ciągnie wilka do lasu... Do nie domykających się wersalek, lemoniady w proszku i butelek z porcelanowym kapslem. To już było widać, kiedy Anda Rottenberg zorganizowała w Zachęcie wystawę „Szare w kolorze”, na której pokusiła się o peerelowskie rekonstrukcje. Wszyscy chodzili zachwyceni i dawali się źle traktować w rekonstrukcji baru mlecznego, w którym udało się nawet uzyskać niepowtarzalny zapach ścierki. Tamta wystawa była jednak inteligentnym żartem, a „Ballada o Zakaczawiu” jest śmiertelnie poważna. W „Rajskim ogródku” Miśkiewicz peerel też pojawia się jako cytat, mocno przetworzony przez teatralną formę. Tu się dokonała praca artystyczna, a w „Balladzie...” nie. A jeśli chodzi o spektakle Jarockiego i Grabowskiego, uważam je za chybione, bo zabrakło w nich szczerości. Straszni z nas hipokryci. Nie wiem, kiedy uda nam się powiedzieć coś szczerze w sprawie przeszłości. Może jedynym wyjściem jest metoda, jaką przyjął Sylwester Latkowski w swoistym peerelowskim inwentarzu, czyli książce „Pamiętam jak”. To znakomita książka, ograniczająca się do lakonicznego opisu peerelowskiej krainy dzieciństwa.

Nie dajemy sobie rady z peerelem. Jedyne, czego udało nam się dokonać, to zamienić część peerelowskiej kultury masowej w camp. Najlepszym przykładem jest tu nieśmiertelny Kloss, którego telewizja może emitować tak długo, dopóki nie wymrą ostatnie peerelowskie roczniki. Ale poważnie nie umiemy nic powiedzieć, dlatego tak łatwo osuwamy się w głupie ballady.

Ł. D.: – Zaraz, zaraz, a co złego jest w patrzeniu na przeszłość z nostalgią? Powrotem do peerelu towarzyszy rozdwojone widzenie. Z jednej strony rozsądek podpowiada, że było źle – bo cenzura, bieda, żelazna kurtyna. Z drugiej strony pamiętamy nasze pierwsze miłości, smak lodów Bambino, oranżady w proszku, wakacji w Jugosławii. Historia tego nie przesłoni. Żadne współczucie wobec osób represjonowanych czy żal za niewydaną z powodów politycznych książką nie unieważni raz przeżytego uniesienia. Nawet jeśli jego przed-

aj .
Dlaczego Niemcy potrafia spojrzec ostro na swoja przeszlosc, na swoja historie, 'na enerdowek? Dlaczego tak bezlitośnie obnażają całą ohydę ustroju, który padł, a my szlochamy nad tym, jacy byliśmy piękni? Przecież równie łatwo jak o Zakaczawiu można by

zrobić wzruszającą balladę o Cottbus, z jeżdżącym po scenie trabantem. W NRD też parę osób spędziło dzieciństwo, prawda? Tylko że teatr niemiecki jest teatrem poważnym, odpowiedzialnym i zdaje sobie sprawę ze swojej misji. Dlatego nie odważa się na propagowanie postaw resentymentalnych. Nawet Frank Castorf, który na swoim teatrze wywiesił neon „Ost” i cały czas podkreśla, że jest z NRD, nie chłapie za enerdówkiem, tylko kasa to, co przyszło, nowy wspaniały świat. Taka postawa daje świetne rezultaty artystyczne.

Ł. D.: – Wątpię, czy można tak swobodnie przekładać doświadczenia niemieckie i polskie. Oni robią inny teatr dla innego społeczeństwa. Niemiecka publiczność lubi, jak za jej własne pieniądze ktoś ją wali w pysk. Polacy szukają w teatrze pocieszenia i rozgłoszenia. Przynajmniej ostatnio.

P. G.: – Robota teatralna nie mogła mnie w „Balladzie o Zakaczawiu” zdenerwować, bo jej tam po prostu nie ma. Jak można było przyznać reżyserowi Głombowi nagrodę Swinarskiego?! To jest spektakl na pozio-

W „Balladzie o Zakaczawiu” coś bardzo sobie bliskiego, znajomego... Teatr zaprosił mnie do świata, o którym wydawało mi się, że już zapomniałem.

ŁUKASZ DREWNIAK

zmienionych w stosunku do oryginalnych, ale nie wiem, czy zmiana była aż tak drastyczna. Poza tym, że było źle widać, nic nie wynikało z zerwania z tradycyjną przestrzenią teatru. A finał przy stole, z cytatem z „Popiołu i diamentu” Wajdy, czyli z zapalaniem wódki w szklankach (cytatów jest w przedstawieniu mnóstwo, ale nie brzmia), to dla mnie grafomania teatralna. I ostatnia próba wyciśnięcia ze mnie łez. Nie ma mowy, nie dam się nabrać na oczy aktorów martwo utkwione w widowni i dramatyczne zawieszanie lekko drżącego głosu. To w strasznie złym guście. Wolę, kiedy to widz jest wzruszony, a aktorzy zajmują się wykonywaniem swoich zadań, czyli grą. A tu zupełnie odwrotnie. Oni w płaczu i w dygocie, a publiczność zimna i obojętna.

Ł. D.: – Nieprawda – publiczność warszawska reagowała bardzo spontanicznie. Paru widzów śmiało się nawet głośniej ode mnie. Owszem, wielu widzów mogłaby jeszcze 10 lat temu oburzyć scena z powielaczem: u Głomba drukujący ulotki dysydent dobiera się w niedwuznacznych zamia-

nawet domorosłym gangsterom. Jedyna rzecz, która mi się w spektaklu podobała, to sama „Ballada”, a raczej to, jak jest śpiewana. Szkoda tylko że z taśmy. Ballady przecież powinno śpiewać się na żywo.

Ł. D.: – Cieszę się, że zwróciłeś uwagę na wybór gatunkowy, jakiego dokonali twórcy tego przedstawienia. Nie przypadkiem nazywa się ono „Ballada o Zakaczawiu”, a nie „Historia dzielnicy Zakaczawie w wspomnieniach i dokumentach”, czy „Rewizja nadzwyczajna: cała prawda o Zakaczawiu”. Od ballady nikt nie oczekuje realizmu – to stylizacja, gatunek niski, podrzędny, opiewający zwyczajność. Głomb i Krzysztof Kopka odpowiadający za scenariusz sięgnęli po analogie z balladami apaszowskimi i po gloryfikację folkloru miejskiego – tu kłaniał się i Grzesiuk, i Tyrmand. Losy grupy przyjaciół, którzy są bohaterami przedstawienia, rozgrywają się w Legnicy. To za peerelu było bardzo dziwne miasto. Niby niemieckie, a w Polsce, niby w Polsce, a jednak w ZSRR, bo stacjonowała w nim Armia Radziecka. Ludziom towarzyszyło tu poczu-

doks.

P. G.: – Co z tego, że pokazuje się żałosne oblicze walki z ustrojem, skoro ta próba odbicia przynależy. To samo robił Słobodzianek z Białostockiem, Grabowski z Alwernią, Huelle, Chwin i Limon z Gdańskiem.

W „Balladzie o Zakaczawiu” upływa czas i panoszy się Historia, ale nie ma polityki. Mili-cyjne mundury, czerwone chusty, partyjne legitymacje to tylko maski i kamuflaż dla normalnych międzyludzkich zachowań, których metaforą jest w spektaklu dziecięca zabawa w Indian i kowbojów. Ścigają się i próbują przechrzyć chuligani i milicjanci, złodzieje i detektywi, korowcy i ubecy.

Zmieniają się przebrania, imiona, charakter, ale istota pościgu, tropienia jest ta sama. Nasz Dzik Zachód. „Eastern” – tak to się chyba mówiło? Jacek Głomb i Krzysztof Kopka dają wyraźny sygnał: nie uwznioślają peerelu. Przeciwnie, pokazują, że w tamtym skundlonym świecie resztki honoru mają tylko drobni złodziejaskowie wychowani na filmach indiańskich. „Winnetou by tak nie postąpił” – deklarują Benek Cygan i jego druhowie. Bandyta jako bohater pozytywny. Jakoś nie ma we mnie wewnętrznego sprzeciwu wobec takiej diagnozy. Kiedy upadają wszystkie autorytety, automatycznie – z przekory, a może desperacji – szukamy nosicieli wartości i uczciwości w środowiskach ekstremalnych: na przykład bandyckich, gangsterskich, mafijnych. O tym

świadcstwo upadku gustu.

Jest też dowodem na zwycięstwo sentymentalizmu w naszych duszach i kiczu w estetyce.

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

nie wspominając. Wyobraź sobie balladę o Lepperze. Przecież Janosik byłby przy nim szorstkim zbrojem. Cóż za genialna idea: nie zwracacie zaciągniętych kredytów, banki was krzywdzą. Piękny materiał na balladę. Czyż nie? Tak nie można myśleć. A to, że komunizm nie naruszył głębokich struktur prowincji, że nie zniszczył jej honoru, bo polityka nie miała do niego dostępu, to przecież nieprawda. Nawet w „Balladzie o Zakaczawiu” pokazuje się nam, że było inaczej, że jednak peerel łamał żelazne reguły honoru, że cudowni chuligani stopniowo się psuli, choć zdresili się dopiero po upadku komunizmu. Pewnie, że przyjemnie jest kogoś dowartościować mówiąc: „Ech, stary, twoje życie było wspaniałe i godne”. Trudniej jest powiedzieć, że było straszne i beznadziejne. Ale ja raczej tego oczekuję od teatru. Najpierw oczyszczenia, a potem pokrzepienia, nie łzawej wiecznicy i sentymentalizmu. To mnie brzydzi. Ciekawe, jaka będzie ballada o Leszku Millerze, którą zamierza wystawić Głomb w Legnicy.

Ł. D.: – Zamiast gdybać o przedstawieniu, które dopiero będzie, wolalbym ustawić „Zakaczawie” w szerszym kontekście. Głomb wpisał swój spektakl w dość ciekawy nurt opowiadania o peerelowskiej przeszłości. Kiedy w „Pomiędzy” Andrzeja Sadowskiego z krakowskiego Stowarzyszenia Mandala pokazuje się nam współczesną Bułgarię, odnajdujemy w niej z radością absurd naszego świata sprzed dwudziestu lat. I wcale nie współczujemy Bułgarom, cieszymy się, że nas to już nie dotyczy, że możemy na absurd popatrzeć z boku, bez konsekwencji. W „Rajskim ogródku” Miśkiewicz rozegranym w realiach mieszkaniowych komunalki z połowy lat 60. uwdąża relikty z epoki – nie domykająca się wersalka, stare radio, rozsypujące się krzesła, meblościanki Kowalskiego. W „Obywatelu Pekosiu” Grabowski przenosił nas do roku 1968, z drobiazgową dokładnością rekonstruował, jak się wtedy piło wódkę: z butelki czy szklankami. Pokazywał zachwyty grupy młodzieży nad przywiezioną z zagranicy paczką Marlboro. W „Historii Peerelu według Mrożka” – parę lat temu zrobił ją Jarocki we Wrocławiu – podobały mi się sceny z internowania w Białolecie. Teksty z listów, antyjaruzelskie pieśni, prośbą przez otwarte drzwi śnieg. Nawet zomowcy byli tacy, jakich zapamiętałem.... Nieważne, czy było to dobre, czy złe przedstawienie, ważne, że odtwarzało rzeczywistość, do której kiedyś należałem. Czasem także i po to jest

paniętany nasze pierwsze miłości, smak lodów Bambino, oranżady w proszku, wakacji w Jugosławii. Historia tego nie przesłoni. Żadne współczucie wobec osób represjonowanych czy żal za niewydaną z powodów politycznych książką nie unieważni raz przeżytego uniesienia, nawet jeśli jego przedmiot był prząsny, błahy i z dzisiejszej perspektywy nawet groteskowy.

Teatr z Legnicy wygrywa tę dwuznaczność. Patrzy na peerel przez pryzmat enerdowskich filmów o Indianach wyświetlanych w kinie „Kolejarz”. Jeśli tylko one zostały ci w głowie, tamta rzeczywistość jawić się musi jako Raj, Arkadia. Podobny chwyt zastosował kiedyś Piwowarski w filmie „Yesterday” o polskiej prowincjonalnej „beatlemanii”. Jak się dobrze zastanowić, Zakaczawie traktuje o tym samym – o bezpowrotnie utraconej dziewiczości, naiwności w patrzeniu na świat.

P. G.: – Nostalgia jest tęsknotą za utraconą ojczyzną. Ja nie Kocham peerelu, nie odczuwam więc nostalgii. A o tęsknocie za utraconym dzieciństwem nie tak łatwo coś napisać czy powiedzieć w teatrze. Na pewno nie jest do tego odpowiednim narzędziem montaż atrakcji autorstwa spółki Jacek Głomb i Krzysztof Kopka.

Ł. D.: – Sukces „Zakaczawia” jest znamieny. Oto nie będzie, Piotrze, w Polsce teatru politycznego, choć bardzo bym tego chciał i pewnie ty też, będzie co najwyżej teatr wspominkowy. Teatr wspominkowy nie ma nic wspólnego z teatrem rozliczeń z komunizmem, bo nawet nie próbuje ocenić tamtego okresu. Po prostu używa ówczesnych realiów jako kostiumu do opowiedzenia jakiejś prostej historii. Może widownia nie chce tematów rozliczeniowych, może artyści nie czują się na siłach, żeby moralizować. Teatr wspominkowy mógłby być naturalną reakcją na polską dramaturgię zajmującą się naszą współczesnością. I byłby trochę w opozycji do spektakli ukazujących upadek bohatera codzienności, jego psychiczne uwikłania, nałogi, słabości. Głomb zdaje się mówić przekornie: „Czekajcie, ja wam pokażę pięknych ludzi. A jeśli nawet nie pięknych, to przynajmniej bardzo malowniczych.”

P. G.: – Zgoda, że sukces „Zakaczawia” jest znamieny. Ale dla mnie stanowi świadectwo upadku gustu. Jest też dowodem na zwycięstwo sentymentalizmu w naszych duszach i kiczu w estetyce. Z głupim uśmiechem utonimy w oparach kiczu. Publiczność będzie biła brawo, krytycy dadzą nagrody, ale ja do takiego teatru na pewno nie będę chciał chodzić.

Maciej Kowalewski, Krzysztof Kopka, Jacek Głomb „BALLADA O ZAKACZAWIU”, reż. Jacek Głomb, muz. Bartek Straburzyński, scen. Ewa Beata Wodecka, premiera 7 października 2001 w Teatrze Modrzejewskiej w Legnicy, w byłym kinie Kolejarz.